



Mirosław Derecki

## ZNANI I NIEZNANI: DELEGAT

Miejsce, w którym stoję, to jeden z najbardziej newralgicznych punktów cementowni „Chełm 1”. A co ciekawsze - prawie pozbawione obecności ludzkiej. Pełna automatyzacja. Osiem pieców obsługuje trzech palaczy, dwóch smarowników i dwóch wykwalifikowanych robotników czuwających nad pracą komór pyłowych. Zresztą daleko by szukać u owych palaczy przynależnych im od wieków „atrybutów” - łopaty i szufli. „Palacz” to tylko potoczne określenie: w istocie przysługuje im miano „wypalaczy klinkieru”, a ich narzędzia produkcji to rozległe szafy sterownicze migające kolorowymi światełkami, zabudowane zegarami, pod którymi wiszą tabliczki: „Sterowanie pieca”, „Sterowanie ślimaków”, „Temperatura w komorze kurzowej”, „Sterowanie ekshnustora”, „Pomiar szlamu”...

Każdy piec to stalowa, lekko ukośnie położona rura, długości 110 m i o średnicy 3,5 m. Kręci się wokół własnej osi z szybkością jednego obrotu na minutę. W części końcowej, w rejonie „komary spiekania”, tam, gdzie temperatura dochodzi do 1 600 stopni C. piec wyłożony jest najwyższej jakości cegłą magnezytową. Jedna taka cegła kosztuje tyle, co kilogram masła. Przed komorą spiekania, w „strefie krzyżakowej”, daje się już „tylko” cegłę szamotową, a w tzw. „strefie łańcuchowej” - szczególnie wytrzymałą na ścieranie cegłę klinkierową.

Do wlotu pieca ogromne pompy wstrzykują co 33 sekundy trzysta litrów szlamu - papki złożonej z kredy, marglu i w 43 procentach z wody. Dla osiągnięcia jednej tony cementowego klinkieru trzeba wtłoczyć do komory spiekania 340 kilogramów pyłu węglowego. Co godzinę z każdego pieca wypada 17 do 18 ton klinkieru, w ciągu doby 405 ton tego cementowego półproduktu. W bieżącym roku Kombinat Cementowy „Chełm”, obejmujący cementownie „Chełm 1” i „Chełm 2”, cementownię „Pokój” w Rejowcu i Zakład Kopalń Surowców Cementowych, wyprodukuje trzy miliony trzysta siedemdziesiąt tysięcy ton cementu! Sto sześćdziesiąt sześć tysięcy ton więcej niż w roku ubiegłym.

Automatyzacja, mechanizacja, elektronika... A jednak nawet przy tym zalewie nowoczesności niektóre „operacje” wykonuje się metodą wymyśloną i dobrze sprawdzoną przez prapradziadków: wypalacz klinkieru, obstawiony elektronowymi urządzeniami, rozpala

wygaszony piec przy pomocy porąbanego drzewa i zwykłej zapałki. I takie właśnie rozpalenie to jedna z najbardziej niebezpiecznych czynności w jego pracy: jeżeli wpuści się za dużo powietrza, jeśli zbyt otworzy się „żaluzje”, ogień potrafi buchnąć w przeciwnym kierunku, wyrwać okienko wizjera, poparzyć obsługę...

Wszystko to opowiada mi Stanisław Ciechan, jeden z tych, którzy czuwają nad pracą pieców, jeden z nielicznych kręcących się po hall ludzi, ubranych w błękitne kombinezony i czerwone hełmy ochronne.

Ciechan - czterdzieści jeden lat życia, trzynaście lat przepracowanych w cementowni, podczas których ani razu nie spóźnił się do pracy, nie opuścił ani jednego dnia. Wyróżniającą się opanowaniem, roztropnością, inteligencją, ogromnym poczuciem odpowiedzialności. Ludzi o takich właśnie cechach wyławia się spośród setek robotników, wysyła na długie szkolenia, aby wreszcie oddać w ich ręce urządzenia kosztujące miliony. Wystarczy chwila nieuwagi, aby temperatura panująca w strefie spiekania przeniosła się w głąb pieca - i już następuje awaria. Piec trzeba wygaszać, zakładać nowe urządzenia, na dłuższy czas staje jedna z „nitok” produkcji, zakład ma kolosalne straty. Doświadczony wypalacz, operując odpowiednio temperaturą i obrotami może natomiast przedłużyć żywotność pieca o całe miesiące. Norma przewiduje wykorzystywanie pieców bez remontu w okresie 9-10 miesięcy. Ciechan i jemu podobni potrafią przeciągnąć ich sprawność do półtora roku. W 1972 roku Wydział Wypału wyprodukował 43 tysiące ton klinkieru ponad plan, a w wyniku tego zarobki wzrosły średnio o 500 złotych miesięcznie.

- Jakie było pana największe przeżycie? - pytam w pewnym momencie Ciechana.

- Ubiegłoroczna wizyta u towarzysza Gierka. To było w maju, w dniu Święta Budowlanych. Jako jedyny z województwa lubelskiego znalazłem się wśród trzydziestu osób reprezentujących nasz resort. Spotkanie odbywało się w sali gmachu KC PZPR. Zastaliśmy tam ustawione w podkowę krzesła i stół, za którym po chwili zasiedli towarzysze: Gierek, Jaroszewicz, Mitręga, Karkoszka... Byłem bardzo wzruszony i... speszony. Ale już po chwili to minęło; ci - siedzący w półkolu i ci - za stołem przemieszali się. Chyba nigdy jeszcze nie znalazłem tak serdecznej atmosfery w środowisku ludzi znanych mi, ale bądź co bądź przecież obcych. Tych ludzi cechuje jakaś niezwykła prostota, życzliwość, coś, co bym nazwał „rodzinnością”. To spotkanie, podczas którego poruszaliśmy sprawy wielkie i małe, produkcyjne i rodzinne, osobiste i ogólnoludzkie, dało mi tyle, ile by nie potrafiła dać i dwuletnia szkoła polityczna! A przecież wszystko trwało zaledwie dwie godziny - Ile się zmieniło w Polsce! - myślałem później.

Urodził się Stanisław Ciechan w Trawnikach, w maleńkim domku skleconym w pocie czoła przez ojca, sezonowego robotnika w miejscowej cukrowni. Rok później ojciec zmarł. Zadawniona choroba nerek, brak środków na leczenie, zrujnowany z niedożywienia

organizm. Dalej wszystko potoczyło się jak w takich wypadkach było do przewidzenia; matka, obarczona trojgiem dzieci, nie posiadająca zawodu, miota się pomiędzy pracą służącą w dworach, a zajęciem wyrobniczy u bogatszych gospodarzy. W miarę podrastania dzieci muszą same zarabiać na siebie - siostra i starszy brat w wieku kilkunastu lat harują ciężko na roli, Stanisława zgadza się ktoś przyjąć na pomocnika pastucha. Nie dostają ani grosza zapłaty, chleb jest z zasady „pod wydział”, a kiedy gospodyni gotuje gęściejszą zupę, nawet tego chleba im odmawia. Z czasów takiej wędrówki od jednego „chlebodawcy” do drugiego Stanisław Ciechan zapamiętał i takie miejsce, gdzie pies gospodarza spał na specjalnym posłaniu w pokoju, podczas gdy on - w sieni na klepisku, mając za jedyną pościel zniszczoną kapotę. Łatwo zrozumieć, że w takich warunkach do szkoły chodził od przypadku do przypadku, a podstawową edukację miał uzupełnić dopiero kilkanaście lat później, już jako chełmski robotnik, głowa rodziny, ojciec dwojga dzieci.

Z nędzy nie zdołały go wyrwać nawet wielkie przemiany, jakie nadeszły wraz z odzyskaniem niepodległości i powstaniem Polski Ludowej. Brat poszedł do wojska, tam istniała możliwość nauki i zdobycia zawodu. To dzięki wojsku zdał maturę i ukończył wyższe studia techniczne. Ale Stanisław tkwił dalej na wsi i dopiero w 1949 r. wraz z kolegą, Mieczysławem Knapem, wyruszył bez grosza przy duszy na Śląsk, do Katowic, bo słyszeli z radia „że tam się Polska buduje”. Pracowali więc na budowie, mieszkali po czternastu w izbach baraków zwanych szumnie „hotelami robotniczymi”... i nigdy dotąd nie było Stanisławowi Ciechanowi tak dobrze, jak właśnie wtedy: po raz pierwszy od wczesnego dzieciństwa miał własne łóżko i własną pościel. I był najedzony.

Marzył zawsze, żeby zostać górnikiem. Cóż więc sprawiło, że już po roku wrócił na Lubelszczyznę? Tęsknota za wsią? Namowy kolegów, którym rozłąka z rodzinami wydawała się zbyt ciężka? Trudno dziś powiedzieć. Następne dwa lata przepracował w jednym z lubelskich POM-ów, odbył chlubnie służbę wojskową gdzieś przy czechosłowackiej granicy i oto w wieku dwudziestu dwóch lat ostatecznie zdecydował się zerwać ze wsią. To właśnie w wojsku rozpoczął się okres kształtowania jego świadomości społecznej, tam wstąpił do partii, ale w pełni ukształtować go jako człowieka miała dopiero cementownia.

Cementownia szokowała rozmachem wielkiej budowy, gromadami fachowców przybywających z całej Polski, atmosferą organizacyjnej i technicznej prężności. Wszystko to oddziaływało mobilizująco także na ludność trochę sennego dotąd Chełma. Tam, gdzie jeszcze w 1957 r. rozciągały się krzaczaste tereny „małpiego gaju”, w połowie roku 1960 zapalono pierwszy piec, a już czwartego grudnia, na „Barbórkę”, posypał się cementowy klinkier z sześciu pleców.

Zakład proponował ludziom z okolicy dobre zarobki, mieszkania, możliwość dalszej nauki, co w perspektywie wiązało się z otrzymaniem lepszego stanowiska. Ciechan od kilku

lat tkwił wówczas w Chełmskich Zakładach Metalowych, dusząc się wraz z chorowitą żoną i dwójkiem dzieci w wilgotnej suterenie przy ulicy Pocztovej. Zarabiał nieźle, wyspecjalizowawszy się w odlewaniu części do kieratów, ale nie widział dla siebie atrakcyjnych perspektyw na przyszłość. Tym bardziej, że produkcja zaczęła spadać, bo rolnicy coraz częściej oglądali się za silnikami elektrycznymi. Toteż gdy w fabryce pojawili się werbownicy z cementowni, kuszący między innymi obietnicą przydziału mieszkania służbowego, Stanisław Ciechan nie namyślał się ani chwili. Obietnice sprawdziły się. Rok po przekroczeniu bram cementowni Ciechan stał się posiadaczem mieszkania, o jakim mu się dotąd nawet nie śniło: dwa pokoje z kuchnią i łazienką, przestronne, wygodne, razem ponad 52 metry kwadratowe!

Dwa miesiące po przyjęciu do pracy posłano go na dziesięciomiesięczną praktykę do cementowni w Rejowcu, a zaraz potem na trzytygodniowy kurs młynarzy cementowych do Sosnowca. Wtedy to, w wieku 28 lat, otrzymał pierwszy w życiu dyplom: wykwalifikowanego robotnika.

W czerwcu 1960 r. ruszyły pierwsze młyny cementowe. Praca przy nich związana jest nierozłącznie z ogłuszającym hałasem i tumanem pyłu, wciskającego się w każdą szczelinę. Tutaj też dały o sobie znać racjonalizatorskie zdolności Ciechana. Najpierw skonstruował dźwięko- i pyłochłonną kabinę, zapewniającą młynarzom chwilę wytchnienia, następnie zaprojektował urządzenie podające klinkier do młyna, co pozwala zakładowi zaoszczędzić pół miliona złotych rocznie, zaś samemu projektodawcy przyniosło pokaźną nagrodę.

Przy młynach Stanisław Ciechan przepracował dziesięć lat. Dorobił się w tym czasie pliku dyplomów, odznak związkowych i Zasłużonego dla Lubelszczyzny, Brązowego Krzyża Zasługi, a przede wszystkim - uznania zwierzchników i szacunku współtowarzyszy pracy. To właśnie jego, członka partii z dwudziestoletnim stażem, wybrano w ubiegłym roku I sekretarzem Oddziałowej Organizacji Partyjnej, ostatnio delegatem na Wojewódzką Konferencję Partyjną.

Niewysoki, drobnej budowy, w granatowej jesionce i czarnym berecie na głowie, wmieszany w tłum robotników stemplujących karty kontrolne przy wejściu do Zakładów, jest Stanisław Ciechan po prostu jednym z tych, którym nowy ustrój dał szansę startu życiowego i którzy tę szansę potrafił wykorzystać.

- Myślę - powiada reporterowi - że nasza rodzina ustaliła się już na dobre jako rodzina robotnicza. I że zapuściliśmy na stałe korzenie w chełmskiej kredzie. Ja stoję przy piecu, syn i córka kończą szkołę zawodową przy cementowni. Wkrótce obejmą tutaj stanowiska elektryków. A gdyby chcieli się kształcić dalej... Cóż, warunki po temu dzisiaj są.